

**FRAGMENT**



# GRZESZNIK



**GRZESZNIK**

© Copyright by Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba sp.j.

© Copyright Artur Urbanowicz

Wrocław 2017

*Wszelkie prawa zastrzeżone.*

*All rights reserved.*

Redakcja:

MAREK GRZYWACZ

Korekta:

DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

KAMIŁA ŚWIĄTKOWSKA

JUSTYNA MASERAK

Skład:

DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

Projekt okładki:

DAREK KOCUREK

fragment książki

Wydanie I

*Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana  
w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób, włącznie  
z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów,  
bez pisemnej zgody wydawcy.*

Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba Sp. j.

ul. Domeyki 16 53-209 Wrocław

www.gmork.pl

email: wydawnictwo@gmork.pl

tel: 795 626 546

**ARTUR URBANOWICZ**

# **GRZESZNIK**

(fragment)

**Zło bierze się z egoizmu**



*Kiedy można zostać opętanym? Czym jest opętanie? Opętana może zostać osoba, która trwale żyje w grzechu i poróżnieniu z Panem Bogiem, lub dobrowolnie i z własnej woli przyjmuje Szatana i opętanie (...).*

Krzysztof Cukierski  
*Egzorcyzmy i opętania – czy Szatan istnieje naprawdę?*

## CZARNY KAPELUSZ

Coś sprawiło, że Marek się obudził. Nie wiedział, czy był to hałas telewizora z dołu, na którym Kasia, Iwonka i Adam oglądali film, czy jakiś inny odgłos, czy może sen, którego nie pamiętał. Musiał być naprawdę zmęczony, bowiem według stojącego na komodzie elektronicznego zegarka wybiła właśnie dwudziesta trzecia, a za oknem panowała już noc. Spał więc bite kilkanaście godzin. Co najśmieszniejsze, wcale nie czuł się wyspany.

Krótki błysk się powtórzył, a on zdał sobie sprawę, że to jego telefon, który takimi sygnałami dawał mu znać, iż czekał na niego nieprzeczytany SMS lub nieodebrane połączenie. Sięgnął po smartfon i odblokował go. SMS. Nieznany numer.

*Wyjrzyj przez okno.*

Marek wyostrzył zmysły i, najciszej jak tylko mógł, wstał z łóżka. Ostrożnie podszedł do okna, na którym na szczęście były zasunięte firanki. I przełknął ślinę tak głośno, że nawet tych dwóch tam, na zewnątrz, musiało to usłyszeć.

Stali na parkingu, tuż pod jego domem. Nieruchomo, jak posągi. W identycznych pozycjach, wyprostowani, ze spuszczoneymi bezwładnie, grubymi jak pniaki rękami. Dwóch po obu stronach efektownego, terenowego, czarnego range rovera. W takim miejscu, że latarnie za nimi uniemożliwiały dostrzeżenie w całości ich twarzy, ale Marek i tak ich rozpoznał. Blondyn i brunet. Wielcy. Ci sami, z którymi miał przyjemność rozmawiać podczas swojej niedawnej przygody na klatce schodowej, zakończonej wypadkiem. I nie wiedział, czy dopowiedziała mu to jego wyobraźnia, czy też naprawdę to dojrzał, ale dałby sobie rękę uciąć, że obaj mężczyźni uśmiechają się szeroko i patrzą prosto w jego okno. Że szczerzą się dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy spotkał ich ostatni

raz. I doskonale wiedzą, że ich obserwuje. Świadczyły o tym kształty ciemnych konturów ich policzków oraz te małe fragmenty twarzy, które oświetlał blask ulicznych lamp.

Marek zeszytywniał. Wyglądali jak dwa manekiny i przez cały ten czas nie poruszyli się o centymetr. Ostrożnie odszedł od okna. Ledwo zrobił krok w stronę szafki, w której trzymał pistolet, a po pokoju już rozniósł się dźwięk kolejnego SMS-a.

*Nawet nie myśl o szukaniu klamki.*

I następny, tuż po tym, jak odczytał poprzedniego.

*Zapraszamy na dół.*

Raz jeszcze podszedł do okna. Dwa olbrzymy w dalszym ciągu się nie poruszały. Żaden z nich nie trzymał też w ręce komórki, niemniej blondyn w końcu wyciągnął z kieszeni swoją i napisał jeszcze jedną wiadomość:

*Masz na wyjście minutę. Jeżeli do tego czasu tego nie zrobisz, to pójdziemy tam po ciebie osobiście. I przy okazji spuścimy wpierdol twojej rodzinie, a córeczce jeszcze dodatkowo potniemy twarz. Wybieraj, co wolisz?*

Marek myślał gorączkowo, ale działo się to zaledwie przez krótki moment.

Westchnął. I odpisał:

*Schodzę.*

Po dotarciu na dół miał już taką gulę w gardle, że nawet nie zarejestrował, kiedy przeszedł przez korytarz luster. Tym razem obyło się bez strachu. Z salonu dobiegł go serdeczny śmiech Iwonki po kolejnym gagu w komedii, którą akurat we trójkę oglądali. Przez chwilę rozważał nawet, czy nie poinformować ich, że wychodzi, ale jeszcze niedawno, kiedy wszystko w jego życiu szło jak po maśle, nigdy tego nie mówił, po prostu bez słowa opuszczał dom. Jeżeli miał więc udawać, że wszystko jest w porządku, to musiał trzymać się starych reguł.

Z drugiej strony, jeżeli miałby już nigdy nie wrócić, to może wypadałoby się chociaż pożegnać?

Naożył buty i prędko wyszedł na podwórko. Kiedy jednak zbliżał się do tych dwóch czarnych, ogromnych ludzkich posągów, zwolnił kroku. Częściowo po to, by nie sprawiać wrażenia zbyt przestraszonego, a częściowo dlatego, że ponownie poczuł ból w stopie i zwyczajnie nie był w stanie szybciej iść.

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór – zaczął brunet, a blondyn uśmiechnął się jeszcze szerzej i tradycyjnie dopowiedział:

– Zapraszamy. – Otworzył tylne drzwi auta, po czym, niczym szofer dbający o wygodę dostojnego gościa, zaprosił Suchego gestem do środka. Jak tylko Marek wszedł, blondyn zamknął za nim drzwi i zajął miejsce obok niego, podczas gdy brunet usiadł za kierownicą. Niemal równo z momentem, w którym odpalił samochód, na przedniej szybie zaczęły pojawiać się pierwsze krople deszczu. Oczywisty związek przyczynowo-skutkowy stał się faktem. Niesamowity ukrop tego dnia musiał się tak wreszcie skończyć.

Marek milczał. Patrzył tylko przez okno i, obserwując coraz intensywniej lejący się z nieba deszcz, popadał w trans. Nie myślał absolutnie o niczym. Nie musiał nawet zastanawiać się, dokąd go wiozą, gdyż doskonale wiedział gdzie i w jakim celu. Dwaj mężczyźni na szczęście nie zmuszali go do mówienia. Nie rozmawiali nawet między sobą.

Wreszcie, po około dziesięciu minutach jazdy, brunet zatrzymał samochód i rzekł:

– Wielki moment w twoim życiu...

– ...coś jak stracenie dziewictwa. Zapraszamy – dodał blondyn i wysiadł. Marek zaś, zanim opuścił range rovera, jeszcze przez kilka sekund wpatrywał się w żółty, jaskrawy napis, trochę zniekształcony przez krople deszczu na szybie. Napis, którego w tej sytuacji nie dałoby się już pomylić z podobnym, w innej części miasta.

„Beerma”.

Wstrzymał oddech i otworzył drzwi samochodu.

\*\*\*

Jak na środek tygodnia, w pubie panował zaskakująco duży ruch. Gdy tylko Marek przekroczył próg, z miejsca uderzył go gwar i intensywny zapach piwa. Wszystkie stoły były zajęte. Spojrzał po klientach. Najwykleszy ludzie na świecie. Typowi bywalcy lokalu, w którym można miło spędzić czas. Śmiali się, rozmawiali i beztrósko pili alkohol, zagryzając go słonymi paluszkami, orzeszkami i chipsami. Młodzi i starsi. Nie przestępcy. Po prostu uczciwie pracujący na co dzień ludzie, którym po godzinach należało się coś przyjemnego.



Jakże bardzo im teraz zazdrościł. Tego nie dało się nawet opisać słowami.

Braku problemów, braku napięcia, jakie mu teraz towarzyszyło, braku tej niepewności wypełniającej ostatnimi czasy każdą sekundę jego życia. Bezcennego kapitału tych ludzi. Szczęścia, z którego w tym momencie nawet nie zdawali sobie sprawy i którego nie dałoby się kupić za żadne pieniądze. On im go zazdrościł. Jak cholera.

W odróżnieniu od wielu innych rzeczy na świecie, akurat tej nie mógł nikomu ukraść.

Odebrać? A i owszem, robił to przecież wielokrotnie. Samemu w ten sposób wejść w jej posiadanie? Nie mógł. Aktualnie jedynym, co mu pozostało, było patrzeć na nich i bolesna frustracja. Zaciskanie pięści w bezsilnej złości, że w przeciwieństwie do niego, im dane jest być takim zwyczajnym. Przeciętnym. Niczym się niewyróżniającym. Z mieszkaniem na stacji, stanem konta nie przekraczającym pięciu, a niejednokrotnie nawet i czterech cyfr, umową śmieciową i używanym samochodem po czwartym właścicielu. Zazdrościł im tych braków, niedoboru rzeczy, które stanowiły dla niego codzienność i które sprawiały, że byli wolni od jego problemów. Tej biedy.

Zazdrościł im wielu rzeczy. Tego braku kamienia w żołądku też.

Zerknął za bar. Wszystkie barmanki pracowały. Za wyjątkiem Martynty, naturalnie. Gdy tylko go zobaczyły, jak na sygnał odwróciły wzrok. Nie z jakąś pogardą, wstrętem czy brakiem szacunku. Prędzej z niepokojem. One już od dawna doskonale wiedziały, co się tutaj dzieje i mogły jedynie udawać, że nic się nie stało i po prostu odbębniają kolejny dzień w kieracie. Przynajmniej przed klientami. To, co najgorsze, rozgrywało się bowiem za zamkniętymi drzwiami, z dala od wścibskich uszu postronnych.

– Powodzenia. – Blondyn otworzył przed Markiem drzwi na zaplecze, tym razem wcielając się w rolę kogoś w rodzaju kamerdynera. W pomieszczeniu panował półmrok. Oświetlała je tylko jedna, niezbyt jaskrawa lampka na stojącej przy oknie komodzie. Z racji pomarańczowego koloru ścian dawało to dość osobliwy efekt. Tak czy inaczej, złowieszczy. Pomimo słabej widoczności, Marek dostrzegł jednak postacie potężnie zbudowanych facetów, którzy niczym osobliwi strażnicy stali pod każdą ze ścian, w tym także za biurkiem.

Biurkiem, za którym jako jedyny w tym pokoju siedział...

– Witaj, Marku.

Suchy nie odpowiedział. Nie zamierzał bawić się w sztuczne uprzejmości. Nie miał nic do stracenia. W tym lokalu to on w dalszym ciągu dzierżył tytuł pana na włościach. Gospodarza, którego wygodny fotel, prawie że prywatną, osobistą przestrzeń, zajmował właśnie jakiś intruz. Zwrócił jednak uwagę, że Samielewicz podczas niedawnej, krótkiej rozmowy z nim odbytej na telefonach jego dzieci nie używał żadnej aplikacji do zmieniania głosu. Jego prawdziwa, słyszana na żywo barwa brzmiała dokładnie tak samo jak tamta, którą wtedy zarejestrował. Niska, mrukliwa, głęboka, mocna i jakby znudzona.

Marek nie widział jeszcze jego twarzy. Podobnie jak w przypadku tych dwóch na parkingu pod domem na Gołdapskiej, światło lampy, która stała trochę za Samielem, po prawej stronie, praktycznie uniemożliwiało jakikolwiek wgląd w jego facjatę. Suchy mógł jedynie stwierdzić, że mężczyzna przywdziewał czarny, młodzieżowy kapelusz i elegancką koszulę tego samego koloru, a także, co bardzo kontrastowało zwłaszcza z dwoma goryłami za nim i mogło zaskakiwać, nie dysponował zbyt wielką posturą.

– Spocznij. – Samielewicz wskazał przed siebie. Marek dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że przed biurkiem stoi coś jeszcze. Taboret. Nie fotel, nie krzesło, a taboret. Kuchenny. Tak mały, że człowiek rozmiarów Szafy najpewniej zgniótlby go tyłkiem jak puszkę po coli.

– To nie moje miejsce. Mój fotel jest za biurkiem – odparł spokojnie.

– Wygodny. Masz gust.

– Wiem.

– Spocznij, proszę. – Mężczyzna w kapeluszu raz jeszcze wskazał na taboret.

– Nie zamierzam. Pостоję.

– Dobrze – powiedział Samiel, po czym zrobił zgrabny, sygnalizujący coś ruch obydwoma rękami. Nim Marek zdążył się choćby odwrócić, od tyłu dopadły go dwie pary potężnych, niedźwiedzych łap ludzi Samielewicza, które siłą doprowadziły go do siedziska. Nie bronił się, zresztą i tak wiedział, że nie ma żadnych szans. Starał się jednak zachować spokój i nie odezwał się ani słowem. Nawet pomimo poniżenia, które raz za razem spotykało go od mniej więcej dwudziestu minut.

– Dwa razy zawsze proszę po dobroci. A dopiero gdy nie dostaję tego, czego chcę, używam siły. To mój znak rozpoznawczy i zarazem pewien ukłon w stronę rozmówcy. Ma wybór, w jaki sposób woli dać

mi to, co i tak prędzej czy później mi da. Uprzejmie, bez zgrzytów, czy jednak inaczej, mniej przyjemnie – stwierdził Grzegorz.

– Fascynujące. Widzę, że niezły z ciebie filozof jest. Brakuje tylko, żebyś chwycił w rękę czaszkę lub jabłko i ubrał się w jakieś prześcieradło.

– Jak się masz? – Samiel zignorował jego zaczepkę, splótł dłonie na biurku, po czym odrobinę się nad nim pochylił, a Suchy mógł wreszcie zobaczyć jego twarz. Zaledwie sekunda wystarczyła, by Marek rozszerzył oczy w szczerym zdumieniu.

Grzegorz Samielewicz miał rozmach, trzeba mu to było przyznać.

Jeżeli naprawdę wcześniej ze swoją buźką wygrywałby castingi do filmów o zombie, tak teraz spokojnie zrobiłby karierę modela. Przed Markiem siedział właśnie co prawda dojrzały, ale za to niesamowicie przystojny mężczyzna. Mało powiedziane. Jakby żywcem wyjęty z jakiejś reklamy. Nawet nie. Lepszy. Trudno było ocenić, czy odpowiadało za to słabe oświetlenie, czy też naprawdę miał on tak doskonałą, nieskazitelną, idealnie proporcjonalną twarz. Jakby wyretuszowaną w programie graficznym i oczyszczoną z wszelkich defektów. Z tą różnicą, że tu Suchy nie patrzył już na zdjęcie, a na człowieka z krwi i kości. Samielewicz pozbył się z twarzy nawet pieprzyków!

To wciąż była maska. Ale doskonała.

– Bezcelne pytanie. Widzę też, że z ciebie niezły jajcarz jest, Grzegorz. Coraz lepiej cię poznaję – odpowiedział mu Marek i dodał: – Ładny kapelus. Pasuje ci do mordki. Trochę pedalski.

– Jestem rad, że ci się podoba oraz że mówisz o tym w taki sposób. Wiesz dlaczego?

– Wał.

– Ponieważ świadczy to, że ani trochę nie uczysz się na błędach. Wciąż mnie lekceważysz. A ja uwielbiam sprawiać pozory w oczach takich jak ty, ponieważ od razu stawia mnie to w uprzywilejowanej pozycji. I dzięki temu zwyciężam. To właśnie jest moja tajemnica.

– Pewny siebie jesteś, koleżko.

– Najważniejsze, że nie arogancki, tak jak ty. Warto to odróżnić. Choć pojęcia te są bardzo do siebie zbliżone, istnieje pomiędzy nimi wyraźna granica.

– Jaka?

– To biurko. – Samiel wskazał na stojący pomiędzy nimi mebel. – W dużym uproszczeniu. Zobacz, dokąd zaprowadziła cię twoja arogancja, a dokąd mnie moja pewność siebie. I uzyskasz odpowiedź na swoje pytanie.

– Nie jest powiedziane, że już przegrałem. Tu jeszcze nic nie jest rozstrzygnięte.

– Tak? W takim razie oddaję ci głos i słucham. Na czym opiera się z kolei twoja pewność siebie... pardon. Arogancja? Jakie masz zaplecze?

Marek milczał.

– Powiem ci, na czym na pewno opierała się do tej pory – odpowiedział za niego Grzegorz. Jego twarz była kompletnie nieruchoma i poruszał jedynie ustami. – Bo miałeś swoją małą armię karków, dzięki którym czułeś się panem tego świata. Jak w korporacji. Hierarchia, wyraźny porządek, każdy wiedział, co ma robić. Wydawałeś polecenia, twoi podwładni wykonywali je z lepszym bądź gorszym skutkiem. Tymczasem ja odebrałem ci ich w kilka dni. Wszystkich, co do jednego. Pozostając przy porównaniu z korporacją, to tak, jakby wszyscy pracownicy Pepsi nagle przenieśli się do Coca Coli, zostawiając samemu sobie jedynie szefa wszystkich szefów. Jak sądzisz, czy wtedy Pepsi dalej funkcjonowałaby, jakby nic się nie stało?

– A na czym opiera się twoja pewność siebie, Grzegorz? – Marek czuł, że jego adwersarz nabrał w tym pojedynku na inteligencję pewnej przewagi. Należało to jak najszybciej zmienić.

Samieł rozłożył ręce i ukazał otwarte dłonie.

– Rozejrzyj się wokół. Jak sądzisz, dlaczego te wszystkie byczki, jak tylko mnie poznały, błagały wręcz, by dołączyć do mojej grupy? Przecież fizycznie nie mam z nimi szans. Stara gangsterska szkoła uczy, że szacunek zdobywa się demonstracją siły. Krótko mówiąc, spuszczeniem łomotu tej osobie, której trzeba.

Marek rzucił okiem wokół. Mężczyźni wciąż obserwowali ich dialog z kamiennymi, pokerowymi twarzami. Mogło to trochę dziwić, zważywszy, że boss wyraził się o nich bądź co bądź trochę lekceważąco. Żaden gangster tego nie lubi.

– Bo jesteś z nich najładniejszy? – zapytał kpiąco.

– Zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego to człowiek, a nie silniejsze i znacznie groźniejsze od niego w walce wręcz zwierzęta panują nad tą planetą? Czemu my, a nie na przykład nasze lokalne niedźwiedzie polarne, które mogą wyrwać nam głowę jednym uderzeniem łapy, albo wielokrotnie szybsze i bardziej wygimnastykowane od nas dzikie koty? – Samieł znowu zignorował jego zaczepki. Od początku tej rozmowy nie okazał ani jednej, choćby śladowej złej emocji. Choćby

odrobinki. Być może dlatego, że zwyczajnie nie potrafił już poruszać mięśniami twarzy, a może dlatego, że i tak tego nie potrzebował.

– Nie.

– To przez intelekt. – Samiel popukał się palcem w skroń. – To właśnie intelekt jest największym atutem człowieka. Rozwijając go i ćwicząc, jesteś w stanie zapanować nad praktycznie wszystkim na tym świecie. Tym bardziej nad takimi bestiami, jak ci džentelmeni obok nas. Każdy z nich doskonale zdaje sobie sprawę, że choć fizycznie mi do tego daleko, to biorąc pod uwagę całokształt, jestem od nich znacznie silniejszy. Sprytniejszy. Że zawsze będę dwa kroki przed nimi i bezbłędnie przewidzę wszystko, co zaplanują. Zaś obserwowanie języka ciała umożliwia mi praktycznie czytanie w myślach danej osoby. Bo czego jak czego, ale akurat tego w zasadzie nie jesteś w stanie kontrolować. Możesz próbować, ale prędzej czy później i tak zawsze znajdzie się coś, co cię zdradzi. Podsumowując, żaden z nich nie odważyłby się jakkolwiek mi podskakiwać, bo doskonale wie, że skończyłoby się to dla niego tragicznie.

– Poczytaj mi więc w myślach, Grzegorz. Powiedz, co mi teraz chodzi po głowie. – Marek pochylał się nad biurkiem tak nisko, że aż prawie dotykał go brodą. Wlepił wzrok w mężczyznę przed sobą, usilnie starając się nawet nie mrugnąć.

– To bardzo proste. Czujesz strach i próbujesz nieudolnie grać odważniaka.

– Zła odpowiedź, panie jasnowidzu. Wcale nie jestem obrany przed tobą.

– Masz rację. Nie jesteś obrany. Nie jesteś nawet obszczany. To nie jest ani dwójka, ani jedynka. To trójka. Czyli jedynka i dwójka naraz, półpłynny produkt, efekt najgorszego możliwego bałaganu, jaki tylko może panować w twojej głowie.

– Teraz to ja się cieszę, że jesteś tak bardzo o tym przekonany, bo to oznacza, że ty mnie lekceważysz.

– Dlaczego złożyłeś ręce na piersi i schowałeś obie nogi pod taboret? – zapytał nagle Grzegorz.

Marek spojrział na siebie. Rzeczywiście przyjął taką pozycję. Zrobił to jakiś czas wcześniej, nieświadomie, uprzednio się wyprostowawszy.

– Bo mi tak jest wygodnie.

– Przyjęcie takiej pozycji na siedzisku tego rodzaju nie wygląda zbyt naturalnie.

– Wybacz, ale chyba to ja lepiej wiem, czy jest mi wygodnie, czy nie.  
– Oczywiście, że wiesz, ale widzisz tylko to, że „jest ci wygodnie”, podczas gdy ja widzę „dlaczego jest ci tak wygodnie”. Ty widzisz tylko skutek, a ja przyczynę.

– I co to za przyczyna? Oświeć mnie.

– Już mówiłem. Strach. Czujesz dyskomfort, więc przyjąłeś taką pozycję, by się go względnie pozbyć. Mówisz: „tak mi wygodnie”. Ja bym dodał: „tak ci wygodnie w twoim aktualnym stanie emocjonalnym”. Naturalnie, że tak. Boisz się, a w ten sposób stworzyłeś ze swoich rąk coś w rodzaju bariery między tobą a tym, czego się lękasz, bo biurko to najwidoczniej za mało. Twoje nogi z kolei, a konkretnie twoje stopy, nieprzypadkowo zmierzają właśnie w stronę wyjścia z tego pomieszczenia. Jako że nogi to narządy mieszczące się najdalej od naszego mózgu, najtrudniej jest nam świadomie kontrolować ich odruchy. To coś jak kompas wskazujący miejsce, w którym najchętniej byś się teraz znalazł. Czyli z dala ode mnie. Podsumowując, tak, dzięki tej pozycji podświadomie czujesz się bezpiecznie. I wygodnie. Każdy w takiej sytuacji poczułby się lepiej. Masz rację, tak ci wygodnie. I ja mam rację, tak ci wygodnie, bo się boisz.

Marek od razu rozłożył ręce i ponownie postawił stopy przed sobą.

– Tak lepiej?

– Najlepiej. Sam wiesz najlepiej, że to udawanie.

– Dobra, skończmy już ten bełkot i przejdźmy do rzeczy. Powiem ci, na czym opieram swoją pewność siebie. Skoro zrobiłeś tak dobre rozpoznanie co do mojej osoby, to doskonale wiesz, że są ludzie, którzy mnie chronią. Potężni ludzie. Z kontaktami na całym świecie, także w najwyższych szczeblach władzy. I mogą o wiele więcej niż ty i twoje kloce.

– Tak sądzisz?

– Ja nie sądzę, ja to wiem.

– Mam propozycję. Zadzwoń do niego. Tu i teraz.

Marek drgnął. Już rozumiał, o co chodziło Kniziowi. To nie był ogórek. Trafnie przewidywał. Wyprzedził tą propozycją co najmniej dwie wymiany zdań, jakie Suchy planował przed przejściem do tego sedna.

– A co? I jego przekonałeś, by nie odbierał ode mnie telefonów?

– Nie, nawet z nim nie rozmawiałem. Zadzwoń.

W pomieszczeniu zapadła głucha cisza. Swego czasu Marek zadbał, by dobrze wytłumiono je przed odgłosami z zewnątrz, więc jedyne, co mogli

usłyszeć wszyscy obecni, to tykanie stojącego na biurku zegara i delikatny szum padającego deszczu. Samielewicz rozsiadł się wygodnie w fotelu i patrzył wyczekująco na Marka, z przechyloną trochę w prawo głową, lekko znużonym wzrokiem i delikatnie opuszczonymi powiekami.

Suchy podjął decyzję. Dobrze! Skoro szanowny pan prosi!

Z uśmiechem wyciągnął telefon, odblokował go i wybrał ten numer. Gdy przyłożył sobie urządzenie do ucha, spojrzął siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie prosto w oczy. Po raz kolejny wytrzymał ten wzrok bez mrugnięcia. Skupił się na tym tak bardzo, że nawet nie zwrócił uwagi, jak wiele sygnałów już usłyszał. Nikt nie odbierał. Grzegorz wyglądał na kogoś, kogo w żadnym wypadku to nie zaskoczyło. Oczywiście, o ile ze swoją nowiuieńką buźką był jeszcze kiedykolwiek w stanie tak wyglądać.

– Przez tydzień leżałeś odcięty od świata, więc w sumie nie dziwię się, żeś niczego nieświadomy. Mam ci to wyjaśnić, czy chcesz poprobować jeszcze parę razy? Po twoim wypadku częste używanie komórki jest raczej niewskazane.

– Słucham cię uważnie. – Marek uznał, że nie ma sensu tracić czasu i schował telefon do kieszeni.

W odpowiedzi Grzegorz sięgnął do szuflady w biurku i rzucił przed Suchego dzisiejsze wydanie jakiegoś tabloidu. Po całym pomieszczeniu rozniósł się majestatyczny huk, zupełnie jakby w papierze ukryto sporej grubości gałąź. Na pierwszej stronie widniał duży tytuł:

„Tak skończył Polip”.

Po przeczytaniu nagłówka Marek poczuł, jak jego serce zaczyna przyspieszać. Chwycił za gazetę i pobieżnie przeleciał wzrokiem tekst. Z każdą linijką jego oczy rozszerzały się tak, jakby oczodoły nagle nabyły właściwości rozciągania się.

W największym skrócie: Polip nie żyje, popełnił samobójstwo, to nie była egzekucja ani porachunki, rodzina wspomina coś o depresji.

– Kiedy ostatni raz z nim rozmawiałeś? – zapytał Grzegorz.

– Dość dawno. Pierwsze słyszę o tej depresji. Zachowywał się zupełnie normalnie. Nikt z jego ludzi też mi nic o niej nie wspominał.

– Oczywiście, że nie wspominał, bo ta depresja to tylko kaczka dziennikarska. Podejrzewam, że tak naprawdę nawet nikogo o nią nie spytali. Albo – zamilkł na moment – że ten tekst powstał na czyjeś zlecenie.

– Chcesz powiedzieć, że to ty?

Samiel pochylił się.

– Powiem ci, ale pod jednym warunkiem. Nie sprzedasz mnie psom? – zapytał poważnym, przystającym do jego nieruchomej twarzy tonem, ale w rzeczywistości ledwo powstrzymywał się od śmiechu, o czym świadczyły ogniki w jego oczach. Marek nie odpowiedział.

– To jest właśnie przykład czegoś, na czym opiera się moja pewność siebie, Marku – podsumował.

Suchy milczał. Jeżeli to była prawda, to jego ostatnia deska ratunku właśnie poszła się kochać.

– Co zrobiliście z Martyną? – zapytał zniecacka, niezależnie od siebie.

– Z Martyną? – Samiel wydawał się szczerze zaskoczony.

– Z moją barmanką...

– ...i kochanką w jednym. Tak, tak, od początku wiedziałem o kim mówisz. Moje zdziwienie wynika stąd, że nie wiem, o co ci chodzi.

– Co z nią zrobiliście? – powtórzył Marek. Tracił panowanie nad sobą.

– Nic, dlaczego pytasz?

– Nie rób mi tu z prawdy kurwy!

– Przysięgam ci, że nic o tym nie wiem. Nic jej nie zrobiliśmy.

– To gdzie ona jest? I skąd wzięła się ta kałuża krwi w jej mieszkaniu?

– Nie mam pojęcia. Nie mam z tym nic wspólnego. To nie jest pytanie do mnie.

– Łzesz – Suchy wycelował w niego palcem. – Zabiłeś ją. Niewinną dziewczynę. Nic ci nie zrobiła.

– Wprowadźmy troszeczkę logiki w te nasze rozważania, Marku, bo z każdym kolejnym słowem coraz bardziej się pograżasz. Masz jakieś nienaruszalne wartości w swoim życiu? Czy zmieniasz poglądy niczym polski polityk w zależności, od której strony zawieje wiatr elektoratu?

– Mam swoje zasady. Szttywne, niezmiennie.

– Tak? Dlaczego w takim razie krytykujesz mnie za to, że rzekomo brutalnie rozprawiłem się z twoją zabawką, skoro ty robisz dokładnie to samo od dawien dawna? Z tą różnicą, że w twoim wypadku z każdym człowiekiem, który tylko może przynieść ci jakiegokolwiek korzyści, ale na swoje nieszczęście nie chce współpracować. To także byli niewinni ludzie. Często tacy, którzy doszli do swojego majątku ciężką, uczciwą pracą z wyrzeczeniami.

– Dobra, zamknij już pizdę z łaski swojej.



– Innymi słowy, krytykujesz mnie za to, że ewentualnie, podkreślam, ewentualnie zrobiłem coś, co sam robisz od lat. To nie jest posiadanie zasad, Marku. To hipokryzja. Nawet gdybym naprawdę zrobił krzywdę twojej laluni, nie miałbyś prawa mnie za to krytykować. A że jednak to robisz, wniosek nasuwa się jeden. Chłapiasz ozorem. Nie bierzesz odpowiedzialności za swoje słowa. Nie masz zasad. Mówisz jedno, a robisz drugie.

– Dość!

– Sam zacząłeś temat. – Samiel uśmiechnął się ledwo zauważalnie.

– Czemu ma służyć ta rozmowa? Czego ty ode mnie chcesz, człowieku? Po co mnie tu ściągnąłeś?

– To proste. Chcę po raz drugi, podkreślam, drugi zadać ci to samo pytanie, które swego czasu zadali ci Czarny i Biały, a na które uparcie nie chciałeś odpowiedzieć.

– Przypomnij mi je, bo jakoś wyleciało mi z głowy. Wiesz, mój mózg ostatnio przechodził ciężki okres – odparł prowokacyjnie Marek.

– Ustępujesz po dobroci czy ustępujesz pod przymusem? Szkoda byłoby, żeby w Beermy zdarzyła się jakaś awantura. Albo malutki pożarek. Ludzie mogliby przestać przychodzić.

– Szantażujesz mnie?

– Daję ci wybór. Tak jak każdemu z twoich ludzi. Byli rozsądni.

– Co jeżeli odmówię?

– Jeżeli odmówisz – zaczął Samiel i celowo poprzedził swoje dalsze słowa krótką pauzą – zrobię ci najgorszą rzecz, jaką tylko mógłbym zrobić. Nawet nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić. Nie zabiję cię. Nie będę też cię torturował. To przeżytek. Zrobię ci coś o wiele gorszego.

Marek milczał. Czekał. Patrzył mu w oczy.

– Odbiorę ci każdą rzecz, która kiedykolwiek wywołała w tobie uczucie szczęścia. Każdą, co do jednej. Na razie zacznę od tego lokalu. To za karę, że się stawiasz. Poza tym podoba mi się. Ma fajną atmosferę.

Nim Suchy zdołał cokolwiek odpowiedzieć, Grzegorz dodał jeszcze:

– Wynos się. Na ostateczną odpowiedź daję ci dwadzieścia cztery godziny. Do tego czasu masz spokój. Ani chwili dłużej.

Marka znowu chwyciły z obu stron dwie pary grubych, zwierzęco silnych rąk. Został błyskawicznie wywleczony z biura i, na oczach wszystkich gości Beermy, a także własnych barmanek, wyrzucony na ulicę. Stracił równowagę i wylądował twarzą prosto w pokaźnej kałuży.

Krztusząc się i plując, dźwignął się na czworaka. Przeszkłone drzwi od jego pubu zamknęły się za nim z trzaskiem tak głośnym, że przebijającym się nawet przez odgłosy burzy. Zobaczył przez szybę, że pozostało przy nich dwóch karków Samiela. Pilnowali, by przypadkiem nie wślizgnął się do środka ktoś, kto nie był tam zbyt mile widziany.

Aneksja Beermu stała się faktem.

# BÓL

Krople deszczu były tak ostre, że zadawały mu ból. Już po paru sekundach zrobił się zupełnie mokry. Nie miał przy sobie ani kurtki, ani parasola, a jego pozostałe pod domem ciepłe, suche porsche wydawało się teraz niemożliwym do spełnienia, utopijnym marzeniem. To jednak nie ziąb ani przemoknięcie do suchej nitki bolało go w tej chwili najbardziej.

Upokorzenie. Bezsilność. Frustracja. Samotność. A do tego niesprzyjanie losu. Gdy wyciągnął swój smartfon, okazało się, że jest rozładowany. Musiał więc samodzielnie dojść na najbliższy postój taksówek, który mieścił się przy parku Konstytucji Trzeciego Maja.

Ulica Chłodna, deptak, którym się teraz poruszała, o tej porze zupełnie opustoszała i rozświetlały ją jedynie niskie, ozdobne latarnie. Ich słaby blask wydawał się jakby tłumiony przez wszechobecną ciemność. Jakby już ledwo żył, dogorywał i dosłownie za moment miał zupełnie zniknąć.

Marek wzdrygnął się. Choć dało się odczuć, że letnie powietrze jest wciąż relatywnie ciepłe, zimny deszcz bardzo z nim kontrastował. Działał jak zanurzenie się w lodowatej wodzie zaraz po wyjściu z sauny.

Gdy Suchy doszedł do ulicy Kościuszki, przy której znajdował się park, był tak zrezygnowany, że nie miał nawet siły na kolejne przekleństwo. Na postoju taksówek nie zastał bowiem ani jednej. Całe miasto przypominało o tej porze jeden wielki pustostan. Po ozdobnym bruku ulicy Kościuszki nie jechał nawet jeden samochód. W zasięgu wzroku próżno było szukać choćby jednego pieszego, którego Marek mógłby poprosić o skorzystanie z komórki. Włożył więc zziębnięte dłonie pod pachy i podjął jedyną słuszną decyzję o powrocie do domu piechotą. Chcąc na siłę doszukiwać się pozytywów sytuacji, w której się znalazł: przynajmniej zyskiwał trochę czasu na przemyślenie wszystkiego na spokojnie. Tylko gdyby nie ten cholerny, nasilający się ból prawej stopy.

Ech.

*...boli...*

Zatrzymał się i uważnie rozejrzał. W swojej wędrówce dotarł właśnie do urzędu miasta. Nie potrafił stwierdzić, czy nie spotkał go właśnie jakiś dziwny słuchowy omam, ale dałby głowę, że przed chwilą dość wyraźnie usłyszał to słowo. Niemożliwe, biorąc pod uwagę, że w pobliżu próżno było szukać kogokolwiek oprócz niego.

Podjął marsz.

Pomyślał o Polipie. Choć Samiel właściwie nie przyznał mu się do niczego konkretnego, Marek nie wątpił, że to on zlecił morderstwo warszawskiego bossa. Nie wierzył w dziennikarskie bzdury o samobójstwie. Grzesznik zabił. Suchy był tego pewien tak samo jak tego, że Marię Suchocką właśnie teraz coś boli.

*...o Jezu, jak boli...*

Znowu się zatrzymał. Tym razem słuch go nie mylił i zarejestrował te słowa wyraźniej niż poprzednio. Znowu się rozejrzał, by na koniec spojrzeć za siebie. Podobnie jak w przypadku Chłodnej, jasność światła latarni przy ulicy Kościuszki pozostawiała wiele do życzenia. Przez niesamowicie gęstą ścianę wody Marek nie mógł tego stwierdzić z całą pewnością, ale w pewnym momencie wydało mu się, że dojrzał w oddali czyjąś rozmytą sylwetkę. Jej właściciel, zdaje się, podążał w tym samym kierunku co on.

Nieważne.

Wrócił do swoich rozmyślań.

Śmierć Polipa brzmiała z jednej strony na złą, a z drugiej na dobrą wiadomość. Złą, ponieważ zginął ktoś, kto roztaczał nad Suchym parasol ochronny. Dobrą, bo Marek nie musiał już odpalać bossowi doli z kręcenia lodów. Nie musiał się dzielić z nikim, przynajmniej do momentu, w którym upomni się o to ktoś, kto obejmie przestępczy tron w Polsce. Ta gałąź gospodarki nie uznawała bezkrólewia.

Nagle doznał olśnienia.

Samiełowicz nie zadawałby sobie tyle trudu, by zabijać najpotężniejszego polskiego gangstera po to, by dowalić Suchemu. Za dużo zachodu. Tym samym odniósł jedynie dodatkową korzyść. Tak naprawdę chodziło tu o coś zupełnie innego. Na to wyglądało.

On chce stworzyć w Suwałkach nowy Pruszków! I to kto wie, może nie tylko w skali krajowej. Dlaczego nie pójść za ciosem i nie zagarnąć

od razu Obwodu Kaliningradzkiego, Litwy i przynajmniej części Białorusi? Suwałki, jako centralna baza dowodzenia taką firmą, nadawały się do tego jak znalazł. Gdyby mu się udało, stworzyłyby jedną z najprężniej działających grup współczesnej Europy. I taplałyby się w forsie jak mało kto.

...zimno mi...

Uderzył piorun, a Marek aż podskoczył. Znowu się odwrócił. Wzrok go nie mylił, na pewno ktoś za nim szedł. Przez gęsty deszcz wciąż nie widział tej postaci do końca wyraźnie, ale zbliżała się do niego. Na sto procent. I to ona wypowiadała słowa, które od czasu do czasu docierały do jego uszu.

Wtem zdał sobie sprawę z tego, co widzi. Przemoknięte włosy i tak stały mu dęba. Tuż za plecami tego kogoś, niczym w jakiejś podwodnej czeluści, panowała nieprzenikniona ciemność. I nie chodziło tu wcale o to, że gęstość deszczu uniemożliwiała zobaczenie latarni. Nie, wyglądało to tak, jakby tajemniczy osobnik wyznaczał przesuwającą się granicę między jasnością a mrokiem, czego potwierdzenie Marek otrzymał jak na tacy. Na jego oczach, ledwo minięta przez kroczącą za nim postać, zgasła kolejna latarnia. Za nią nie można było zobaczyć już absolutnie nic.

Lawina ciemności. Fala. Niczym przeraźliwie gęsta, prąca naprzód chmura smogu. Przed nią ten ktoś.

A może coś?

Czerń zbliżała się do Marka z każdym krokiem nienaturalnie szcuplej postaci. Ten element wyglądu osobnika stanowił jedyną rzecz, którą można było na jego temat stwierdzić z całą pewnością, ponieważ słabe światło nie ułatwiała zadania. Trudno było rozstrzygnąć, czy to mężczyzna, czy też kobieta. To coś szło na dwóch nogach, nieco chwiejnym, ale dość szybkim krokiem. Szybszym niż Marek, tym bardziej, że wciąż dokuczał mu ból stopy.

Nagle Suchy poczuł niepokój.

Zdał sobie sprawę, że im bardziej postać się do niego zbliżała, tym bardziej w jego głowie narastał ten znany ze szpitala wysoki szum połączony z piskiem. Co gorsza, w przeciwieństwie do ostatniego razu, teraz obu tym dźwiękom towarzyszył straszny, powiększający się migrenowy ucisk wewnątrz czaszki.

Marek odwrócił się z powrotem w kierunku swojej wędrówki i ruszył jak najszybszym krokiem przed siebie. Z jakiegoś powodu czuł, że pod żadnym pozorem nie powinien dopuścić, by to coś za nim go dogoniło.

*Boli, boli. O Jezu, jak boli!*

Ból, szum i pisk stawały się coraz intensywniejsze i przez nie, podobnie jak w przypadku ze starym Rodziewiczem, Suchy zaczynał coraz mniej wyraźnie widzieć. Świat wokół pulsował w idealnej synchronizacji z uderzeniami w jego głowie. Przez nieostrożność w stawianiu kolejnych, szybkich kroków, Marek niespodziewanie potknął się i upadł na mokry chodnik. Nie odważył się jednak raz jeszcze spojrzeć za siebie. Wstał i czym prędzej podjął marsz. Oddychał głęboko i krzywił się, gdyż stopa odmawiała mu posłuszeństwa.

*Zimno... Zimno mi, o Jezu, jak mi zimno.*

Słyszał kroki tego czegoś za sobą. Słyszał słowa. Mógł też stwierdzić nieco więcej o barwie tego głosu. Brzmiał jak kobiecy, ale Marek czuł, że to coś na pewno nie jest kobietą. Mężczyzną bynajmniej też nie. Czuł, że to coś jest nie z tej rzeczywistości. Utwierdzały go w tym przekonaniu niecichnące pstryknięcia za plecami, odpowiadające kolejnym gasnącym latarniom. Wszystko to – słowa, kroki, pyknięcia i ciemność – zbliżało się do niego w zatrważającym tempie.

No i ten strach. Narastające w nim przerażenie, którego już ani trochę nie kontrolował.

W końcu poddał się. Wyczerpanie i lęk wyssały z niego resztki sił. W dodatku, jako że zwyczajnie nie był w stanie dalej iść, musiał dać odpocząć stopie. Do tego ogarnęły go mdłości połączone z zawrotami głowy od hałasów i bólu wewnątrz czaszki.

Zatrzymał się. Ale wciąż nie śmiał się odwrócić.

Pstryk.

Pstryk.

Pstryk. Ostatni.

Następna latarnia umiejscowiona była już zaledwie kawałeczek przed nim.

Wziął głęboki oddech i obrócił się.

Po raz pierwszy w życiu widział coś takiego. Ścianę gęstej jak atrament ciemności przemieszaną ze ścianą wody. Obie tak nieprzeniknione i mroczne, że nie potrafił w nich dostrzec nawet tej kroczącej za nim postaci, która znajdowała się teraz mniej więcej kilka metrów od niego. Wiedział, że tam jest i także się zatrzymała. O jej obecności świadczyły trzy niezawodne symptomy.

Cholerny szum, pieprzony pisk i ten okropny, makabryczny ból.

Gdy to się wydarzyło, nie zdążył w żaden sposób zareagować. Postać zrobiła kilka błyskawicznych kroków w jego stronę i chwyciła go zdeformowanymi, sinymi dłońmi za policzki. Spojrzał na jej zniekształconą, pokrytą pojedynczymi kępkami długich włosów głowę, przypominającą połączenie Golluma ze zmasakrowanym trupem pozbawionym nosa. Wrzasnął i odskoczył do tyłu, łądując poślaskami w kolejnej kałuży.

– Boli mnie! Tak bardzo mnie boli! Nie chcę już żyć! Błagam – zajęczała żałośnie poczwara, stopniowo się do niego zbliżając. Próbował wstać, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Jedyne, co mu w tej chwili pozostało, to czołgać się do tyłu. Próbował patrzeć na tę postać, ale przez nieprzystające mu dokuczać dolegliwości wciąż nie widział jej ostro, podobnie jak całe reszty obiektów wokół siebie. Na pewno była naga, zgarbiona, trupio biała, przeraźliwie wychudzona, jak kobieta w ostatnich, najgorszych stadiach anoreksji, i miała nienaturalnie długie kończyny.

– Tak bardzo mi zimno. Błagam. Nie chcę już tego czuć. Muszę to skończyć.

– Zostaw mnie w spokoju! Nie dotykaj mnie! – krzyknął Marek. Przemógł się, dźwignął na nogi i najszybciej jak tylko mógł, zaczął biec drogą wyznaczaną przez światło dotychczas jeszcze niewygasłych latarni. Nie patrzył za siebie. Nie myślał o niczym innym, nie myślał o bolącej nodze. Tylko o tym, by uciec tej istocie. By jej nie słyszeć, by nie czuć jej obecności za sobą, by nie dać jej się znowu dotknąć. Ani razu.

Zatrzymał się dopiero przy kościele Świętych Apostołów Piotra i Pawła, który mieścił się naprzeciwko suwalskiego stadionu lekkoatletycznego. Ciężko oddychając, pochylił się i oparł ręce o uda, podczas gdy lodowaty deszcz nieprzerwanie atakował jego plecy. Gdy dochodził do siebie, spojrzął spode łba w kierunku, z którego właśnie przybiegł, ale na szczęście latarnie wciąż świeciły tak, jak powinny. Żadna z nich nie gasła, nawet te najdalej w zasięgu wzroku. Trochę go to uspokoiło. Znajdował się w zasadzie bardzo niedaleko swojego celu, czyli ciepłego, bezpiecznego domu i jeszcze cieplejszego łóżka w jeszcze bezpieczniejszych objęciach żony.

Kiedy poczuł się pewniej, wyprostował się i zaczął iść, tym razem przez parking pod kościołem, prosto ku zaczynającemu się za nim osiedlu Hańcza.

Zrozumiał swój błąd mniej więcej w połowie ścieżki biegnącej przez sąsiadujący ze świątynią cmentarz. Nie pomyślał o tym, ponieważ

w pewien chory sposób przyzwyczał się już do ostrzegających go szumu, pisku i bólu, które nie ustały nawet, gdy uciekł tamtej istocie. Nie bez powodu wciąż je słyszał i czuł. Teraz, kiedy szedł przez pogrążony w kompletnej ciemności, nieoświetlony choćby przez znicze cmentarz, gdzie pomiędzy niektórymi grobami stały ciemne, nieruchome ludzkie sylwetki, już wiedział dlaczego.

Zacisnął zęby. Starał się nie oglądać na boki. Nie wykonywał gwałtownych ruchów, tak jakby miało to sprowokować te postaci do ataku. Wypatrywał wyjścia z cmentarza, które znajdowało się teraz jakieś dwadzieścia metrów przed nim. Liczył w myślach każdy dzielący go od niego krok i być może to właśnie dlatego droga niemiłosiernie mu się dłużyła. Na wszelki wypadek szedł bardzo wolno, jakby licząc, że stwory go nie zauważą, choć i tak wiedział, że wszystkie skupiają się właśnie na nim. Tylko i wyłącznie. Jak wataha drapieżników czekających na odpowiedni moment, by zaatakować swoją ofiarę. Czuł to. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Jak tylko przekroczył bramę cmentarza, znowu zaczął biec. Nie zatrzymał się ani razu do momentu, gdy bardziej spocony niż mokry od deszczu wbiegł na posesję przy ulicy Gołdapskiej.



## O AUTORZE



**Artur Urbanowicz** (urodzony w 1990) – z wykształcenia matematyk, z zawodu informatyk i wykładowca akademicki, z charakteru chorobliwy perfekcjonista. Smykałkę do wymyślania różnych historii odkrył w sobie jeszcze w dzieciństwie, co poskutkowało napisaniem pierwszej powieści do szuflady w wieku czternastu lat. Zafascynowany gatunkiem horroru pod każdą postacią, w swoich opowieściach nie stroni jednak od wątków obyczajowych i skłaniających do głębszych przemyśleń. Wnikliwy obserwatori

słuchacz. Wychodząc z założenia, że literatura powinna pełnić funkcję przede wszystkim rozrywkową, w tekstach stawia na lekkość, bawienie czytelnika, manipulowanie nim i obowiązkowe zaskoczenie na końcu. Zadebiutował słowiańską powieścią grozy pod tytułem *Gałęziste* z fabułą osadzoną na jego ukochanej, rodzinnej Suwalszczyźnie. Książka ta zdobyła „Złotego Kościeja”, została nominowana do Nagrody Literackiej im. Wiesława Kazaneckiego, jak również znalazła się w finałowej czwórce walczącej o Nagrodę Polskiej Literatury Grozy imienia Stefana Grabińskiego.

Gabriel Amorth, egzorcysta, sporządził klasyfikację pięciu stopni nękania człowieka przez złego ducha:

kuszenie, dręczenie, obsesje, nawiedzenie i opętanie.

Zapomniał jednak o jeszcze jednym, najgorszym:

gdy wszystko to spotyka cię jednocześnie...

Marek Suchocki „Suchy”, boss suwalskiego półświatka, dowiaduje się, że najgroźniejszy konkurent wychodzi z więzienia. Nie czekając na dalszy rozwój wypadków, wraz ze swoimi wiernymi ludźmi postanawia raz na zawsze stawić mu czoło. Porachunki kończą się tragicznie – Marek spada ze schodów i doznaje silnego wstrząsu mózgu. Kiedy po tygodniowej śpiączce odzyskuje przytomność, okazuje się, że jego grupa została rozbita, a wszystkie pieniądze zarobione przez lata przestępczej działalności zniknęły. Jego przeciwnik, przez swoje brutalne i bezkompromisowe dokonania ochrzczony niegdyś przez media Grzesznikiem, daje się poznać jako genialny, niesamowicie inteligentny psychopata, który nie zna litości. Stawia Suchocego przed wyborem – albo ustąpi, albo zostanie mu odebrane wszystko, czym tylko kiedykolwiek się cieszył. Na domiar złego, wkrótce po wypadku ujawniają się nowe, przerażające zdolności Marka...

Poznaj zaskakujące, niespotykane dotąd połączenie horroru i opowieści gangsterkiej w klimacie *Chłopców z ferajny!*

Zrealizowano w ramach  
stypendium Miasta Suwałki



[www.gmork.pl](http://www.gmork.pl)



[fb.com/wydawnictwo.gmork](https://fb.com/wydawnictwo.gmork)

